

Tomasz Kozłowski
Wyższa Szkoła Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa, Poznań

I będziesz dążył do szczęścia osobistego

Mało jest równie przygnębiających rzeczy co widok księgarskich półek uginających się od poradników uczących bycia szczęśliwym. To pewnie robota dla psychologów historycznych, ale odnoszę nieodparte wrażenie, że idea koncepcji osobistego szczęścia jest stosunkowo świeża, a jeśli nie, to jej popularność niechybnie przeżywa teraz swój szczyt. Jakoś nie kojarzę podręczników dobrego samopoczucia okresu międzywojnia, czy nawet okresu powojennego. Nie przypominam sobie takich pozycji w księgarniach czasu mego dzieciństwa, nie wspominają o nich moi starsi koledzy, czy rodzina. Prawdopodobnie tak rozumiane szczęście kryło się pod nieco inną nazwą, ale skoro tak, to – jeśli wierzyć radykalnym konstruktywistom – pewnie i jego znaczenie było nieco inne.

Pogoń za osobistym szczęściem ostatnimi czasy stała się czymś na kształt jedenastego przykazania. Niedążenie do szczęścia – jakkolwiek rozumianego – odbierane jest na równi z grzechem ciężkim. Więcej – staje się jednym z elementów budowania społecznego podziału na tych, którzy do szczęścia owego dążą i na tych, którzy wysiłek ten, o, pożałowania godni, zarzucili. Problematyka osobistego szczęścia stała się tematem towarzyszącym problematyce indywidualnego rozwoju, pięcia się po szczeblach kariery korporacyjnej, zdobywania certyfikatów, stanowisk i znajomości. Prasa dla młodych, ambitnych i zabieganych pełna jest romantycznych opowieści o tych, którzy odnaleźli, jak to się mówi, swoją przystań. Poświęcili życie (a dokładniej resztę życia, na ogół bowiem są to korporacyjni wyjadacze, którzy napełniwszy sobie wcześniej solidnie kabzę, rzucili wszystko i ruszyli w głąbsze) dokarmianiu wiewiórek, malowaniu martwej natury z filiżanką, spożywaniu płodów ziemi, czy też innym, równie niszowym receptom na święty spokój.

Młodzi, ambitni i zabiegani czytają to i nieuchronnie zadają sobie pytanie... a może rzucić to wszystko? Potem uroczyście obiecują sobie, że kiedyś to zrobią, po czym otwierają laptopa i zanurzają się po czubek głowy w excelowskich tabelkach. I tak, po paru chwilach karmienie wiewiórek i uprawa ekologicznej kalarepy wydają się nedorzeczną aberracją, niegroźnym frajerstwem, ciekawostką, anegdotą do opowiedzenia w przerwie śniadaniowej na dwudziestym piętrze szklistego biurowca. I wszystko wraca na stary tor, z tą jednak różnicą, że idea osobistego szczęścia, czerpania pełnymi garściami z każdej minuty trzyma się uparcie ich umysłów i nie chce puścić. Doskwiera. Przecież widziało się „American beauty”, obejrzało się „Revolutionary Road”, nautożsamiało się z ich bohaterami, nakiwało solidarnie głowami nad ich losem, nazadrościło determinacji, nawspółczuło porażki... I tym oto sposobem z powodzeniem funkcjonuje nisza kupujących uniwersalne poradniki uczące optymizmu od podstaw, przy czym podstawą, tłem dla planu dnia przyszłego szczęśliwca nie jest zerwanie z dotychczasowy, życiem. Jest nim stała praca, rodzina i ogólny brak czasu. To bardziej poradniki sztuki radosnego przetrwania. W efekcie, budujemy optymizm z dostępnych już kłocuszków, dokonujemy pewnej przebudowy priorytetów, niekoniecznie zostawiając za sobą zgliszcza i uciekając do budki w lesie.

Tyle tylko, że to nie na wiele się zdaje. Buddyjscy w gruncie rzeczy rycerze Jedi uczący się osławionego „let go” to na tym tle absolutni radykałowie. Szczęście to w dzisiejszych czasach nie sztuka rezygnacji i odpuszczania sobie. To sztuka odpowiedniego

dopieszczenia ego, nic więcej (a więc dopieszczenia tego, co w koncepcji buddyjskiej na drodze do szczęścia uparcie stoi...). Czyż nie wmawia się nam wszak, że szczęście to przede wszystkim akceptacja siebie, swoich potrzeb i sprawiania sobie przyjemności? Czym innym, jeśli nie nieustannym strumieniem dopieszczenia jest emerytura pośród wrzosowisk i lawendy, o której tak chętnie marzą miliony?

Na marginesie dodajmy, że psychologowie sugerują, iż wszędzie tam, gdzie statystyczny Europejczyk dopatruje się enklaw szczęścia, a więc na południu Europy, w Nowej Zelandii czy Patagonii, ludzie wcale nie czują się szczęśliwsi. Nadspodziewanie łatwo ulegamy jednak złudzeniu, że wyciskanie oliwek, noszenie wody w glinianym dzbanie czy własnoręczne ubijanie masła czyni w jakiś tajemny sposób szczęśliwym. Podziękujmy za te marzenia specom od regionalnego marketingu. Dobra robota!

Bez względu na to, czy idea szczęścia jest kulturową kreacją, czy nie, porażka na drodze do jej osiągnięcia jest faktem. Skąd to wiadomo? Jak pisze psycholog Martin Seligman, „na całym świecie depresja szokująco często dotyka młodych ludzi. (...) Taki stan rzeczy jest paradoksem, zwłaszcza jeśli się wierzy, że źródłem dobrostanu są dobre warunki bytowe. Tylko osoba ideologicznie zaślepiona może nie zauważyć, że w każdym zamożnym kraju prawie nie ma takiej rzeczy, która nie byłaby lepsza dzisiaj niż pięćdziesiąt lat temu. W Stanach Zjednoczonych rzeczywiście siła nabywcza wzrosła około trzykrotnie. Średnia powierzchnia domu podniosła się dwukrotnie, z około 100 m kw. do 220 m kw. W 1950 roku jeden samochód przypadał na dwóch kierowców; dzisiaj mamy więcej samochodów niż osób z prawem jazdy. Kiedyś studiowało jedno dziecko na pięć; dzisiaj studiuje połowa. Ubrania – a nawet sami ludzie – wyglądają dziś jakby atrakcyjniej. Postęp nie ograniczył się do sfery materialnej: mamy więcej muzyki, kobiety mają więcej praw, mamy mniej rasizmu, ale więcej rozrywki, więcej książek. Gdyby ktoś powiedział moim rodzicom, którzy z dwójką dzieci mieszkali w stumetrowym domku, jak wszystko będzie wyglądało za jedyne pięćdziesiąt lat, stwierdziliby po prostu: ‘To będzie raj na ziemi’. Rajem trudno to nazwać”.

Seligman argumentuje, że poziom depresji rośnie, a średni poziom szczęścia w żadnej mierze nie dotrzymuje kroku powiększającemu się dobrobytowi. Zadowolenie z życia Duńczyków, Włochów i Meksykańczyków – dla przykładu – wzrosło tylko nieco. Amerykanie, Japończycy i Australijczycy nawet pod tym względem nie drgnęli. Nastrój Niemców i Brytyjczyków natomiast – jak mawiają maklerzy o pikujących wskaźnikach – obrał kurs na południe. Depresja zajmuje dziś poczesne miejsce w pocście chorób cywilizacyjnych. I jak dotąd nie ma skutecznego sposobu, by jej triumfalny pochód zatrzymać, albo choć spowolnić, czego wymownym świadectwem są wspomniane wcześniej kilometry półek w księgarniach uginających się od recept na szczęście.

Osobiste szczęście to konstrukt społeczny, który wydaje się nieszczególnie dobrze funkcjonować w starciu z naszą naturą. Gdyby było inaczej, stosunkowo łatwo byłoby znaleźć zwierzęcy ekwiwalent szczęścia. Czy można wskazać zwierzę, które rodzi się i umiera szczęśliwe? Cokolwiek to znaczy? Trudne, prawda? (Pomijając już zupełnie fakt, że psychologowie behawioralni podobne nadzieje po prostu wyśmialiby, jako metodologicznie nieweryfikowalne). Optymizm jest ewolucyjnie nieuzasadniony, ba jest niebezpieczny. Podobnie z ludźmi: choć brzmi to ponuro, należy liczyć się z faktem, że *Homo sapiens s.* jest urodzonym pesymistą, bo tak się po prostu opłacało. Zwierzę-optymista bagatelizuje problemy, poprzestaje na małym, na siłę szuka pozytywów w sytuacjach zagrożenia, niebezpieczeństwa traktując jak wyzwanie, łatwiej ryzykuje – te i inne cechy optymistów w świecie natury oznaczają stosunkowo szybką śmierć. Natura

nie toleruje podejścia z gatunku „nie przejmuj się, jakoś to będzie”. Z reguły jest bowiem źle, wystarczy nic nie robić, by się o tym przekonać. Będzie źle, naprawdę. I pesymiści to wiedzą.

Natura preferuje tych, którzy zakładają gorszy wariant i zawczasu przygotowują się na jego nadejście (co w brutalnym świecie przyrody jest – statystycznie rzecz ujmując – znacznie bardziej prawdopodobne). Naturalnie, miewamy chwile niezmaconego szczęścia, ale są one po prostu sygnałem, że tymczasowo się nam upiekło oraz że warto postępować w podobny sposób częściej i wystrzegać się tego, co na ogół nam towarzyszy, czyli warunków znacznie gorszych, jeśli nie zupełnie nam przeciwnych. Ci, którzy marudzą, zrzędzą, którzy dostrzegają więcej minusów, być może chodzą wiecznie sfrustrowani, ale i skuteczniej motywują się do tego, by w ogóle coś przedsięwziąć zamiast zakładać, że jakoś to będzie i wszystko się jakoś ułoży (oczywiście, we wszystkim niezbędny jest umiar: totalne czarnowidztwo zatrzyma nas we wszelkim działaniu, ale czy nie działa z nami tego samego ekstaza lub inny haj?). Permanentnego szczęścia natura nie przewidziała. W końcu nawet druga zasada termodynamiki stwierdza, że wszystko w końcu zamieni się w użyźniacz gleby. Dążenie do szczęścia to walka z nieodwracalnym. To dostarczanie energii do stygnącego i rozsypującego się prawem entropii układu. To trudne. To frustrujące. Niczym budowa perpetuum mobile. Cytowana przeze mnie praca Selingmana to „Pełnia życia”, która z początku wydała mi się kolejnym masowym produktem z półeczki dla (i od) domorosłych terapeutów. Tak jednak nie jest. Jej autor jest zarówno twórcą, jak i popularyzatorem nowatorskiej gałęzi wiedzy zwanej psychologią pozytywną. Jest owa psychologia nauką (i to przez duże „n”) mocno koncentrującą się na percepcji i odczuwaniu subiektywnego szczęścia. Skupia się na tym, jak powstają procesy, których rezultatem są pozytywne emocje, jak takie procesy wywoływać i jak można je skutecznie podtrzymywać, stanowi ona jednocześnie interesujący kolaż zdobyty z różnych obszarów wiedzy psychologicznej. Swoją koncepcję pełni życia (a dokładniej dobrostanu) Selingman buduje z kilku komponentów. Twierdzi, że człowiek do szczęścia potrzebuje poczucia pochłonięcia działaniem, pozytywnych emocji, poczucia spełnienia i oddania jakiejś idei, satysfakcjonujących relacji otoczeniem. Brzmi to z jednej strony banalnie, z drugiej jednak uświadamia nam brutalnie prostą prawdę: poczucie szczęścia wymaga aktu woli, dążenia, zaangażowania, dostarczenia wspomnianej wcześniej energii. Selingman radzi jak odwrócić entropię: znajdź sobie hobby, postaraj się o kilku przyjaciół i dbaj o relacje z nimi, wynajdź ideę, która ciebie zafascynuje i pochłonie, zmusz się do tego, by małe drobiazgi postrzegać w sposób pozytywny. Teoretycznie nie ma w tym nic odkrywczego. Autor eksponuje jednak bardzo wyraźnie istotny element: akt woli. Najtrudniejsza do pokonania jest niekonsekwencja (psychiczny odpowiednik stygnięcia). Proste ćwiczenie zapisywania trzech rzeczy, które danego dnia „poszły dobrze” (*nota bene* ćwiczenie świetnie udokumentowane, które daje obiecujące rezultaty po kilkunastu dniach nawet w stanach ciężkiej depresji), staje się ćwiczeniem trudnym właśnie w kwestii konsekwencji, samej chęci wytrwania w wykonywaniu go. Wygląda na to, że droga do szczęścia jest niekiedy potwornie nudna.

Poszukiwania indywidualnego źródła optymizmu jawi się jednak jako wyzwanie szczególnie trudne z jeszcze innego powodu. Jeśli przyjmiemy, że indywidualne szczęście to konstrukt, musimy jednocześnie przyjąć, że będzie mieć ono pewne elementy wspólne dla każdego z nas, inaczej trudno by nam przyszło zdiagnozowanie i zakatalogowanie doznawanego stanu jako faktycznego szczęścia, o którym może napisać elitarny miesięcznik i którego wszyscy mogliby nam zazdrościć. Osobiste szczęście w

kategoriach kultury Zachodu można by zdefiniować jako poczucie wolności, niezależności, realizacji swoich pragnień i funkcjonowania w zgodzie z resztą świata, tego ożywionego, jak i tego nieożywionego. Taki obrazek lansuje literatura, kino, ba, zasada się na niej cała ideologia konsumeryzmu. Wydaje się to kategorią bardzo pojemną. Jakkolwiek na ogół daleki jestem od tego radykalnego konstruktywizmu kulturowego, tak w tym punkcie jakiś strzęp socjologicznej bądź antropologicznej intuicji niepokojąco pokrzykuje, że to żadna koncepcja absolutnego szczęścia, a jedynie czysty europocentryzm, nie liczący się w ogóle z pozostałymi filozofiami szczęścia, jakie gotów jest wyprodukować ludzki umysł, zanurzony w danej kulturze, w danej historii, czy danym czasie (na przykład wyobrażam sobie, że w okresie rozbiorów koncepcja ta prawdopodobnie obejmowałaby także jakieś godne przysłużenie się Ojczyźnie; możliwe, prawda? Dziś już warunek ten uchodziłby za niekonieczny). Kulturowo konstruowana koncepcja szczęścia dokonuje swobodnego gwałtu na psychicznej różnorodności jednostek, które, gdyby nie stopy książek, gdyby nie medialna papka i pseudo-mądrostki w rodzaju „Tao Kubusia Puchatka” i wynurzeń Paulo Coelho, swoje szczęście zapewne realizowałyby nieco inaczej. I nagle powszechna nieumiejętność osiągania dobrostanu w wymiarze jednostkowym przestaje tak zdumiewać. Recepta na indywidualne szczęście ma charakter masowy. To paradoks.

Niech wolno mi będzie poczynić pewną dygresję. Natknąłem się jakiś czas temu w sieci na interesujący wykład (choć właściwszym zapewne określeniem były „*stand-up*”) sir Kena Robinsona, brytyjskiego eksperta w zakresie rozwoju edukacji oraz jej możliwości i wyzwań w dynamicznie rozwijającym się świecie społeczeństwa informacyjnego. Robinson zarzucał współczesnym systemom edukacyjnym (systemom wcale nie tak różnorodnym, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać; na całym świecie bowiem na pierwszym miejscu stoi nauka matematyki i języków obcych, nigdzie z kolei – na przykład – tańca), że zapamiętane niszczą w ludziach, i to od najmłodszych lat, sztukę kreatywności. Podał w tym miejscu przykład nieskrępowanej niczym dziecięcej twórczości. Opowiedział historię kilkuletniej dziewczynki lubiącej się w malowaniu. Pewnego razu kreśliła ona abstrakcyjne esy-floresy. Spytana przez nauczycielkę cóż to takiego, odparła, że to obraz Boga. „Ale nikt tak naprawdę nie wie, jak wygląda Bóg” – stwierdziła nauczycielka. Dziewczyna odparowała: „Jeszcze minuta i każdy będzie już wiedział”. Według Robinsona to na ogół ostatnie podrygi takich spontanicznych aktów twórczych. Szkoła skutecznie wtłoczy w nas przekonanie o istnieniu jedynej właściwej odpowiedzi, bez względu na to, czy znamy ją czy nie, bez względu na to, czy chcemy czy też w ogóle nie chcemy mieć z nią do czynienia. To, co w nas zostaje to strach przed popełnieniem błędu, który dzieciom stawiającym pierwsze kroki na swej edukacyjnej drodze, jest (jeszcze) obcy.

Edukacja, ale i cała kultura, o co zresztą trudno mieć pretensję do kogokolwiek, wtłacza w nas konkretny, zatwierdzony autorytetem pokoleń wzór, dajmy na to, zachodni wzorzec szczęścia, nirwany, etc. i każdy dąży w tak wyznaczonym kierunku, bojąc się odstępstwa, uginając się pod wymogiem bezbłędności. Zniechęcenie, ale i zapewne do pewnego stopnia brak odwagi, by samemu coś przedsięwziąć, zaryzykować i zmienić powoduje, że na wiarę przyjmujemy koncepcję szczęścia podsuwaną przez wzorce kultury i bezrefleksyjną większość. W społeczeństwie socjalizowanym do myślenia na swój sposób stadnego i odtwórczego nie sposób oczekiwać pojawienia się masowego dobrostanu. Aż chce się w tym miejscu nawiązać do niedawnych słów Wiktora Jerofiejewa, który Zachód postrzega jako obszar kastrowany terrorem bezpieczeństwa:

„Jeśli chce się zmienić człowieka i wprowadza się w tym celu ‘terror’, który ma eliminować zagrożenia, to należy sobie odpowiedzieć na pytanie, czym jest istota, którą nazywamy ‘człowiekiem’. Ale takiego pytania w Europie nikt od czasów Nietzschego sobie nie zadaje”. Można by to pytanie rozciągnąć o „człowieka szczęśliwego”: kim on tak naprawdę jest? Czy poza europejską koncepcją spełnienia jest jeszcze miejsce na inną? Czy wymóg samorealizacji nie jest kolejnym „terrorem”? Ludzie mają dziś obowiązek być szczęśliwymi, inaczej będą tymi przegranymi. W obu przypadkach wnioski są identyczne: bezpieczeństwo i trzymanie się wytyczonej ścieżki to gwarantowane przetrwanie, ale i gwarantowana nuda.

Dajmy już jednak spokój owym relatywistycznym implikacjom. Dość. Chciejmy wierzyć, że istnieją przynajmniej pewne elementy wspólne poczuciu szczęścia, które mogłyby się stać typowe dla każdej kultury, dla każdego człowieka, że są tzw. „powszechnikiem”. Seligman, niebezpośrednio, ale istnienie takich zbiorów wspólnych sugeruje. Wyobraźmy sobie taką oto sytuację: po ciężkim dniu, po kwadransach spędzonych w korkach, przypomina nam się, że trzeba jeszcze skoczyć na pocztę i nadać polecony. Brzmi strasznie, prawda? To nie koniec. Wchodzimy do oddziału i wita nas kolejeczka regulujących płatności emerytów, co przekłada się na kilkadziesiąt minut oczekiwania. Za nami kolejka przyrasta w tempie geometrycznym. Atmosfera beznadziei udziela się każdemu. Czy istnieje cień szansy, że stosunkowo niedużym kosztem każdy wyniesie z tego doświadczenia przyjemne wspomnienie? Otóż – radzi autor – wystarczy podejść do okienka, odwrócić się do ludzi i spytać kto czeka na kupno znaczka. A następnie kupić te znaczki od razu wszystkim, którzy tego potrzebują. Efekt dobrego samopoczucia do końca dnia gwarantowany – przekonuje Seligman i ja mu wierzę. Wydaliśmy te dwie dychy, ale frajda ogromna. Wszyscy dziękują, wszyscy mają mnie za dobrodzieja, świat stał się lepszy, i to wszystko za moje marne dwadzieścia złotych. Co prawda nie pomogło się wszystkim, ale reszta i tak ma poczucie, że jest fajnie, kolejka się zmniejszyła i jaki miły człowiek! Aż chce się opowiedzieć o zajściu po powrocie do domu. I spirala dobrego samopoczucia nakręca się dalej... Mam wrażenie, że podobna sytuacja byłaby w zbliżony sposób interpretowana w przeróżnych zakątkach ziemi. Odwołuje się ona do zasad altruizmu odwzajemnionego, którego istotę do pewnego stopnia rozumieją niektóre gatunki naczelnych, a nawet inne, mniej „lotne” ssaki.

Ale tymczasowe obdzielenie ludzi znaczkami nie gwarantuje poczucia szczęścia. To mała dawka pozytywnych emocji, ważnych, ale nie tożsamy z poczuciem szczęścia, które kojarzone jest ze stanem długotrwałym, stabilnym, utrzymującym się w samoistnej równowadze. Tymczasem dzisiejsza popkultura staje się dla takiego stanu rzeczy ogromnym wyzwaniem. Jest odwrotnością poczucia stabilizacji – jest bowiem w ciągłym ruchu, kocha zmianę i nowość – nie można jej również utożsamiać ze świadomym wyborem, albowiem specjalizuje się w omamianiu swoich odbiorców. Pytanie zatem, czy modele szczęścia, które popkultura i kultura zachodnia nieustannie lansują, są w ich obrębie w ogóle do osiągnięcia? Moim zdaniem – nie bardzo. Modele szczęścia niemal zawsze odwołują się do dłuższego horyzontu czasowego, jednak w dzisiejszych czasach umiejętność racjonalnego planowania, stawiania sobie dalekosiężnych celów, konsekwentnego dążenia do nich – kuleją. Moje obserwacje (mam nadzieję, że stronicze, aczkolwiek ci, z którymi mam okazję wymienić pogląd, utwierdzają mnie w przekonaniu, że jednak reprezentatywne) prowadzą mnie do wniosku, że pokolenie obecnej dorosłej młodzieży kompletnie nie potrafi uzasadnić swych życiowych wyborów, posiada jedynie mgliste pojęcie o swojej przyszłości, jednak nie bardzo

orientuje się, jak dobrać środki, by sięgnąć cel, jak mierzyć siły na zamiary, jak zrealizować swoje marzenia. Ich plany obejmują najbliższy rok, dwa. Brak w nich jednak ogólnego pomysłu na siebie (formułka powtarzana niczym mantra w żalach pracodawców). Od niepamiętnych czasów tryumfy święcą takie kierunki jak marketing i zarządzanie, prawo czy pedagogika. W zależności o pojawiających się mód trafiają się co prawda niespodziewane strzały, jednak rozkład statystyczny zwycięskich kierunków sugeruje, że dziesiątki tysięcy młodych ludzi każdego roku ma identyczny pomysł na życie. Trudno mi uwierzyć, że ten edukacyjny kombinat stawia sobie za cel produkcję szczęśliwych ludzi. Warto dodać, że Selingman osobny rozdział „Pełni...” poświęca rozważaniom ma temat edukacji – czy może ona uczyć optymizmu i pozytywnego nastawienia do świata i innych, budowania zaufania, wzmacniania kapitału społecznego, redukcji wyniszczającej rywalizacji. To wspaniałe założenia i piszę to bez cienia ironii. Sam wierzę w nie głęboko. Ale dzisiejszy świat żyje pod dyktando rynku, który schlebia z kolei masowym gustom, a te – taka już nasza natura – uważają taką kombinację za śmiertelnie nudną, poważną jak kazanie, z którym na ogół wielu się zgadza, ale niewielu pragnie cokolwiek robić.

Zachodnia koncepcja szczęścia, bazująca na rajach i żywotach wiecznych, krainach spokojnych, rozciągających się hen, daleko, natrafia dziś na wyjątkowo twardy i wysoki mur. Świat zmienia się w tempie, które ciężko nam sobie uświadomić. Takie czasy. Dość powiedzieć, że spośród dziesięciu zawodów najbardziej pożądanym w 2010 roku, sześć z nich nie istniało zaledwie cztery lata wcześniej. Pamiętajmy, że dobry zawód to podstawa szczęścia, wielu się z tym zgodzi. To tempo rośnie. Informacje przyrastają z zatrważającą prędkością. Wiedza przekazywana w czasie pięcioletnich studiów zdąży się zdezaktualizować dwa razy. Ludzie, którzy dziś są na studiach będą pracować w zawodach, których jeszcze nie ma. Wszystko płynie, wszystko się zmienia, a my uparcie szukamy absolutów...

Czarno to widzę.

Tomasz Kozłowski jest adiunktem w Katedrze Pedagogiki i Socjologii w Wyższej Szkole Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu. Zajmuje się socjoantropologią popkultury i psychologią ewolucyjną. Jego ostatnia książka „Samotny hulaka. Rzecz o proto-kulturze ery pop” ukazała się nakładem Oficyny Wydawniczej ŁośGraf